

USAGI YOJIMBO – DŁUGOUCHY RONIN

NOWA Fantastyka

02 (377) 2014 MIESIĘCZNIK MIŁOŚNIKÓW FANTASTYKI CENA 9 ZŁ 99 GR (w tym 8% VAT)



ROBOCOP

W KINACH OD
7 LUTEGO

W SPRZEDAŻY
OD 21 STYCZNIA

PRAWO
MURPHY'EGO

POKONAĆ ŚMIERĆ:
ŁAZARZ, FRANKENSTEIN I INNI

FANTASTYCZNY ŚWIAT
– IZRAEL CZ. 1

OPOWIADANIA:

FORD, CADIGAN, MORAINÉ
URBANIUK, DZIAŁOSZYŃSKI,
MLECZAK

ROBOCOP ©2014 METRO-GOLDWYN-
MAYER PICTURES INC. AND COLUMBIA
PICTURES INDUSTRIES, INC. ROBOCOP
™ ORION PICTURES CORPORATION.
ALL RIGHTS RESERVED.

ISSN 0867-132X



02
INDEKS 358398

PROSZYŃSKI
MEDIA



04

Powracający w nowym filmie RoboCop to ciekawy przypadek. Przetrwał już ponad dwadzieścia pięć lat, mimo że większość odsłon jego przygód wcale nie cieszyła się popularnością.



07

Wskrzeszenie, powrót zmarłego do życia, ożywienie martwego ciała to jedno z największych marzeń ludzkości. Jego realizacja jest zazwyczaj mroczną opowieścią o konsekwencjach takiego czynu.



10

Choć ekofantastykę znajdziemy na półce oznaczonej „science fiction”, z science niewiele ma wspólnego. W większości przypadków dzieła te nie mają żadnych podstaw naukowych.



12

W tym roku mija równo trzydzieści lat, odkąd Usagi Yojimbo zadebiutował na kartach komiksu. Przez ten czas został obsypany licznymi nagrodami i uzyskał status jednej z najlepszych graficznych serii autorskich.



foto J. Luthas

CYGARO TOLKIENA

Parę miesięcy temu pisałem o katolickich skrupulantach, którzy wszędzie doszukują się diabła. Dla równowagi w przyrodzie, oto wstępniak na drugą nóżkę.

Coś nie podoba mi się w oglądaniu grupy bładolich pozytywnych bohaterów, którzy wyruszają na wschód, by roznieść na strzępy jakichś facetów o ciemnej karnacji. Takie obrazy powodują, że ogarniają mnie mdłości – pisze John Yatt z „The Guardian”. I jeszcze: W jednym narożniku jego [Tolkiena] ringu stoją bladolice wojownicy Rohanu, w drugim żli orkowie z Isengardu – ponura banda o ogorzałych twarzach i skośnych oczach. (...) Może przestanę już przytaczać opisy, powiem wprost: „Władca pierścieni” jest rasistowski.

Z kolei na blogu wtrawaju.blox.pl czytamy: *Faszyzm zrodził się z rozczarowania demokracją, tęsknoty za porządkiem i ładem. Z tęsknoty za porządkiem i ładem Tolkien popełnił Hobbita i LOTRa. (...) Według ideologii faszyzmu każda jednostka miała przypisane na stałe miejsce w hierarchii społecznej, wykonywała przydzielone jej zadania, mając niewielkie szanse awansu społecznego. Dlatego elfi strażnik w Rivendell nie marzy o tym, żeby zająć miejsce Elronda, a krasnoludy służą Thorinowi, zaś Bilbo zadowala się tym, kim jest i tym, co ma, jako dobry poddany ich królewskich mości, kimkolwiek by nie byli.*

I nie ma znaczenia, że Tolkien brzydził się rasizmem i totalitarnymi ideologiami, czemu wielokrotnie dawał wyraz. Yatta-mani wiedzą swoje, a jeśli fakty przeczą ich nadinterpretacjom, to tym gorzej dla faktów.

Wypowiedzi w podobnym tonie nie są nowością u lewicowych skrupulantów, którzy na każdym kroku wynajdują rasizm, faszyzm, seksizm, homofobię itp., z identycznym zacięciem, z jakim ich katolicyści odpowiednicy wężą wszędzie okultyzm i satanizm. Na każdego ojca Posackiego przypada jakiś John Yatt. Zaczadzenie każdą ideologią może być równie toksyczne.

Tymczasem, jak to ujął Zygmunt Freud: *Czasami cygaro jest po prostu cygarem.* Zapraszam do lektury!

Jerzy Rzymowski

PUBLICYSTYKA

- 2 ZAPOWIEDZI
- 3 ZASTRZYK PRZYSZŁOŚCI Mateusz Wielgosz
- 4 PRAWO MURPHY'EGO Andrzej Kaczmarczyk
- 7 ŚLADAMI ŁAZARZA Tomasz Miecznikowski
- 10 CZERŃ ZIELENI Wawrzyniec Podrzucki
- 12 DŁUGOUCHY RONIN Paweł Deptuch
- 14 FANTASTYCZNY ŚWIAT – IZRAEL CZ.1 Marek Grzywacz
- 72 ETYKA ZARCIA Rafał Kosik
- 73 KRES ZBRODNIOM WOJENNYM Peter Watts
- 78 JAK OKRAŚĆ STARSZĄ PANIĄ? Łukasz Orbitowski

PROZA POLSKA

- 17 NIEISTOTNA OFIARA PROFESORA PRYSYPKINA Jarosław Urbaniuk
- 28 POGLĄDOMAT Bartosz Działoszyński
- 35 ŻYWOTY BÓSTW ŚMIERTELNYCH Marcin Mleczak

PROZA ZAGRANICZNA

- 39 DZIEWCZĘ, KTÓRE POSZŁO NA SUSHI Pat Cadigan
- 49 HISTORIA NATURALNA JESIENI Jeffrey Ford
- 55 HORYZONT ZDARZEŃ Sunny Moraine
- 60 DOSKONAŁY DZIEŃ C.S.Friedman

RECENZJE

- 65 KSIĄŻKI 74 FILM 75 KOMIKS 77 GRA

Polub
Nową Fantastykę
na
Facebooku!

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Wawrzyniec Podrzucki
Falstart

Charles Stross
Dzika farma



BEZ SZALEŃSTW

Zazwyczaj, gdy podczas przygotowania kolejnych zapowiedzi w przeglądarce internetowej otwieram karty z książkami, filmami i komiksami, zbiera się ich tyle, że nie mieszczą mi się na pastku. Nierzadko też ostrzegam Was i Wasze portfele, że czeka je ciężki miesiąc. Tymczasem w lutym względy spokój, wybrałem ledwie jedenaście wartych polecenia propozycji kulturalnych, których na szybko policzona wartość to około 500 zł. Narzekalbym na brak wielkiego wyboru, ale wystarczy, że spojrzę na sąsiadujące z moim biurkiem, uginające się pod ciężarem nieprzeczytanych pozycji półki, a wypełnia mnie raczej wdzięczność względem wydawców i dystrybutorów kinowych.

Ci drudzy wprawdzie pracują pełną parą, skupiają się jednak na nadrabianiu zaległości w prezentowaniu Oscarowych faworytów, stąd fantastykę

na wielkim ekranie reprezentować będą tylko trzy pozycje: „**RoboCop**”, a więc nowa wersja przygód słynnego blaszaka, „**LEGO® przygoda**”, po której nie mam zielonego pojęcia, czego się spodziewać, a także „**Zimowa opowieść**” Akivy Goldsmána, na podstawie powieści Marka Helprina, która zresztą w okolicach premiery filmu powinna ukazać się nakładem Wydawnictwa Otwartego.

Poza tym w księgarniach także „**Ja inkwizytor. Głód i pragnienie**”, a więc kolejna (która to już?) odsłona bestsellerowej serii Jacka Piekary, antologia „**I żywy nie wyjdzie stąd nikt**”, w której między innymi opowiadanie laureata naszego jubileuszowego konkursu, Grzegorza Piórkowskiego, oraz „**Kull: Banita z Atlantydy**” – w tym numerze chwali go w recenzji JeRzy. Najciekawiej zapowiadają się jednak pozycje sygnowane głośnymi nazwiskami: Dan Simmons w „**Trupiej otusze**” zmierzy się z wampiryzmem, Solaris zaś wreszcie opublikuje „**Novę**” Samuela R. Delany'ego, autora klasyka SF, „**Babel 17**”.

Jeżeli chodzi o komiksy, wielkiego smaku na nowego **Usagiego Yojimbo** narobił mi swoim artykułem Paweł Deptuch, na pewno sięgnę też po opowieści o Nocnym Puchaczku i Doktorze Manhattanie z serii „**Strażnicy – Początek**”. Przydałoby się także powrócić do regularnego czytania „**Żywych trupów**”, ale najpierw muszę sprawdzić, na którym tomie właściwie skończyłem. Sądzę, że w okolicach 16 albo 17, a to znaczy, że mam co nadrabiać, zanim wezmę się za zapowiadaną na luty dwudziestą odsłonę serii.

Marcin Zwierzchowski

NA LUTY POLECAMY:

KSIĄŻKA



Simmons Dan,
„Trupia otucha”
– twórca
„Hyperiona”
i „Drooda” bierze
się za wampiry.

KSIĄŻKA



Howard Robert E.,
„Kull: Banita
z Atlantydy”
– mało znany
w Polsce pierwowzór
słynnego Conana.

FILM



„RoboCop”
– remake opowieści
o policjancie
przyszłości.

KOMIKS



„Strażnicy – Początek
#3. Nocny Puchacz.
Dr Manhattan”
– kolejna odsłona
serii prequeli do
„Strażników”.

PRAWO MURPHY'EGO

ANDRZEJ KACZMARCZYK

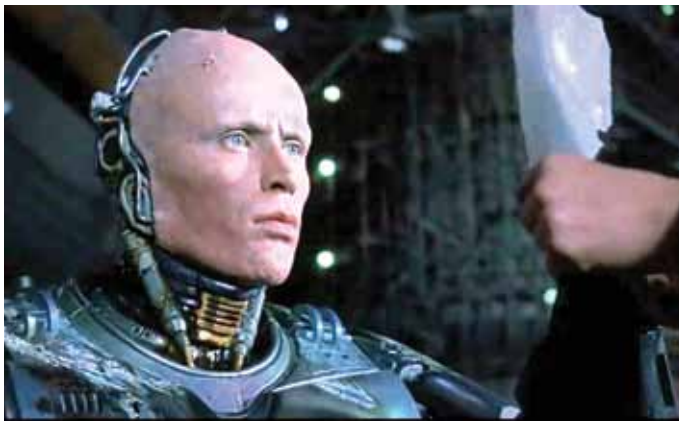
POWRACAJĄCY W NOWYM FILMIE **ROBOCOP** TO CIEKAWY PRZYPADEK. TEN BOHATER PRZETRWAŁ JUŻ PONAD DWADZIEŚCIA PIĘĆ LAT, MIMO ŻE WIĘKSZOŚĆ ODSŁON JEGO PRZYGÓD WCALE NIE CIESZYŁA SIĘ POPULARNOŚCIĄ.



Historia RoboCopa rozpoczyna się w 1987 roku. Pierwszy film wyreżyserował **Paul Verhoeven**, a rolę Alexa Murphy'ego, zmarłego policjanta ożywionego jako tytułowy cyborg, zagrał **Peter Weller**. Pierwszy „RoboCop” został bardzo entuzjastycznie przyjęty przez widzów i krytyków. Kosztował skromne 13 milionów dolarów, a zarobił ponad 50 milionów. Przy takim sukcesie nie trzeba było długo czekać na sequel. I tak „RoboCop 2” ujrzał światło dzienne trzy lata później, a po kolejnych trzech do kin trafił „RoboCop 3”.

Chociaż drugi film spotkał się ze znacznie chłodniejszym przyjęciem, a trzeci był wielką kląpą, RoboCop cały czas pozostawał silną marką. O jego dalszych losach powstały dwa seriele aktorskie i dwa animowane, oraz liczne komiksy i gry komputerowe. Niemal każde kolejne wcielenie RoboCopa coraz mniej miało wspólnego z pierwowzorem.

Teraz „RoboCop” doczekał się remake'u. Fani, jak zwykle w podobnych sytuacjach, podnieśli wrzask: „Hańba! Targowica!”. Trzeba jednak odpowiedzieć sobie na pytania: czym RoboCop był, jak prezentuje się z dzisiejszej perspektywy i, przede wszystkim, czy po wszystkich tych sequelach, serialach, etc. naprawdę jest sens rwać włosy z głowy przez remake?



JEZUS CYBER SUPERSTAR

„RoboCop” Verhoevena to brutalny film akcji i tę rolę spełnia dobrze, choć ząb czasu nieco go nadgryzł. Jednak przede wszystkim stanowi satyryczne spojrzenie na Amerykę lat 80. Wszystko – od dominującej na ekranie ekstremalnej przemocy poczynawszy, przez przerywające film lub lecące w tle telewizyjne programy i reklamy parodiujące medialną papkę, aż po groteskowo przerysowane postacie korporacyjnych yuppie – służyło przedstawieniu w krzywym zwierciadle amerykańskiej kultury i społeczeństwa.

I tak przez ponad półtorej godziny.

Nie będę ukrywał: nie jestem zagorzałym fanem RoboCopa. Przyznaję, pod wieloma względami wyprzedzał swoje czasy i nie sposób odmówić mu ambicji, jakich nie mają zwykłe filmy, w których zużywa się podobne ilości amunicji i sztucznej krwi.

Verhoeven jest jednak równie subtelnym satyrykiem, co RoboCop policjantem. W praktyce przez godzinę i czterdzieści minut powtarza się tu ten sam dowcip w kilku permutacjach, w każdej delikatny niczym nuklearna eksplozja. Szybko staje się to nużące. Po części to również wina lat, które dzielą nas od właściwej „RoboCopowi” dekady. Wszystko to było znacznie świeższe w roku Pańskim 1987.

Co gorsza, satyra zepchnęła na drugi plan to, co najciekawsze, czyli walkę Murphy'ego o jego tożsamość. Umiera gwałtowną i bolesną śmiercią, a potem... budzi się jako maszyna. Futurystyczne monstrum Frankenstein'a o umyśle pozszywanym z komputerowych programów i poszatkowanych wspomnień. Z pomocą Anne Lewis, policjantki, która towarzyszyła mu w dniu gdy został zamordowany, odzyskuje swoje „ja”. Niestety, wszystko to potraktowano po macoszemu i nigdy nie doprowadzono do satysfakcjonującej konkluzji. Wprawdzie na samym końcu RoboCop spytany o imię odpowiada *Murphy*, ale nadal pozostaje niewolnikiem oprogramowania.

Zamiast problemu człowieka uwięzionego w maszynie, Verhoeven postanowił przedstawić RoboCopa jako... Chrystusa. Tak, według reżysera historia śmierci i „zmarłych-wstania” Murphy'ego to paralela wydarzeń z Nowego Testamentu. Z tą myślą umieścić nawet w filmie scenę, w której RoboCop brodzący w kałuży

ŚLADAMI ŁAZARZA

TOMASZ MIECZNIKOWSKI

WSKRZESZENIE, POWRÓT ZMARŁEGO DO ŻYCIA, OŻYWIENIE MARTWEGO CIAŁA TO JEDNO Z NAJWIĘKSZYCH MARZEŃ LUDZKOŚCI. JEGO REALIZACJA JEST ZAZWYCZAJ MROCZNĄ OPowieścią O KONSEKWENCJACH TAKIEGO CZYNU. NIE NALEŻY JEDNAK WYŁĄCZNIE DO HORRORU, NAWET JEŚLI TAM JEST SPOTYKANA NAJCZĘŚCIEJ.



„Ja, Frankenstein”

W nieco zapomnianym komiksie „**Plemię Cienia**” J. Michaela Straczynskiego, opowiadającym o niezwyklej wędrownicy między życiem a śmiercią, drugoplanową postacią jest dziwak o imieniu Łazik, wyglądem przypominający komiwojażera. Na wysuszonej twarzy ma ciemne okulary, jakby nie chciał pokazywać steranego setkami lat życia spojrzenia. Czasami za jego plecami można zobaczyć rękę ze świetlistym mieczem, która chroni go przed śmiercią. Łazik jest bowiem komiksowym wcieleniem biblijnego Łazarza, który w wersji Straczynskiego po wskrzeszeniu przez Jezusa nie może ponownie umrzeć. Ten poboczny wątek jest jedną z wielu odsłon motywu stale obecnego w fantastyce.

DALEKO OD ŹRÓDŁA

Na ekrany kin wchodzi „**Ja, Frankenstein**”. Wysokobudżetowe widowisko inspirowane jest motywem ożywionego monstuma na sposób mocno odległy od liczącego już niemal dwieście lat literackiego pierwowzoru. Szczególnie jeden bohater stał się nieśmiertelną ikoną popkultury. Podczas gdy kolejne odsłony historii o innym ponadczasowym bohaterze, Draculi, niezmiennie fascynują, opowieść o stworzonym przez naukowca potworze szokuje i budzi lęk. Pisana w dobie romantyzmu przez młodą Mary Shelley powieść łączyła w niespodziewany sposób

ludzkie porachunki z Bogiem ze strachem i fascynacją rozwojem wiedzy i nauki. Konsekwencje zachwiania naturalnym porządkiem rzeczy sugerował już sam, pełny tytuł – „**Frankenstein, czyli nowoczesny Prometeusz**” (według mitu Prometeusz stworzył pierwszych ludzi z gliny).

„Frankenstein” w książkowym wydaniu budzi u czytelnika co najmniej zdumienie. Romantyczne dzieło nie może być jednak inne, pełne jest płomiennych przemów i uczuć zarówno w wykonaniu naukowca, Wiktora Frankensteina, jak i jego odrażającego tworu. Płacziwy stwórca i zwinne, brzydkie, a zarazem elokwentne monstrum, ożywione po połączeniu ludzkich szczątków, budzą miejscami u czytelnika uśmiech zażenowania. Gdy jednak przestaniemy zwracać nadmierną uwagę na formę, ukaże nam się ponadczasowość i tragizm powieści, z popadającym w szaleństwo tytułowym bohaterem i odrzuconym, mordującym bliskich naukowca stworem. Potrzeba było wersji kinowej, w szczególności klasyka z 1931 roku w reżyserii Jamesa Whale, z niezapomnianą rolą Borisa Karloffa, by na zawsze wpisać tę historię w świadomość widza. Co więcej, z czasem monstrum zaczęło nazywać dzwięcznym nazwiskiem jego twórcy. I tak, w „Narzeczonej Frankensteina” tytułowa oblubienica jest przecież kobietą stworzoną dla potwora, zaś w samym „Frankensteinie” naukowiec dostał nieobecnego w powieści,

charakterystycznego pomocnika, który pomagał mu w szabrowaniu grobów. Sam obrazoburczy czyn pozostał ten sam, niezmiennie budząc jeśli nie odrazę motywem profanacji, to na pewno poważne moralne wątpliwości nawet u widza w dwudziestym pierwszym wieku. Wygląda na to, że w najnowszym filmie, „Ja, Frankenstein”, wszystko zostanie wywrócone do góry nogami, a próba oswojenia wizerunku monstuma, tutaj o wiele mówiącym imieniu Adam, da nam prawdopodobnie mieszalinę sagi „Zmierzch” i serii „Underworld”. Oby strawną.

FRANKENSTEINOWSKIE WARIACJE

Kino i literatura mocno chwyciły owy mający biblijne korzenie motyw wskrzeszenia i nie zamierzają go wypuszczać. „Frankenstein” doczekał się wielu wersji, także komediowych. W „**Młodym Frankensteinie**” hollywoodzki prześmiewca Mel Brooks pociągnął historię do granic absurdu, a z filmu najbardziej pamiętało się postać Igora, asystenta Franksteina (w tej roli Marty Feldman), którego wygląd był chyba bardziej okropny niż samego monstuma. W 1994 roku powstał film „**Mary Shelley's Frankenstein**”, będący

CZERNÍ ZIELENI

WAWRZYNIEC PODRZUCKI



Wy tłumaczeniem tego paradoksu może być to, że obecnie na temat zagrożeń ekologicznych w mediach mówi się bardzo dużo, ale najczęściej słyszane są głosy tych, którzy z naukami przyrodniczymi nie mają nic wspólnego i to oni głównie kształtują opinię publiczną, co w łatwy sposób przekształca się w zapotrzebowanie na literaturę o tej tematyce.

W listopadzie 2013 r. „The New York Times” opublikował artykuł pt. „Learning How to Die in the Anthropocene” („Nauczyć się, jak umrzeć w antropocenie”, tłum. WP), w którym autor, Roy Scranton, zajmujący się zawodowo literaturą współczesną na Uniwersytecie Princeton pisze: *Największy problem, jaki przed nami stoi, jest natury filozoficznej: zrozumieć, że ta cywilizacja jest już martwa. Im szybciej staniamię twarzą w twarz z tym problemem i im szybciej przyjmiemy do wiadomości, że nie możemy nic uczynić, aby samych siebie ocalić, tym szybciej będziemy mogli zacząć się adaptować, z pokorą śmiertelników, do nowych realiów.* Słowa te brzmią dramatycznie i wzbudziły wielkie emocje czytelników tego artykułu. Emocje, które nie pozwoliły im zauważyć, że autor sam sobie przeczy: *nie możemy nic uczynić, ale będziemy mogli zacząć się adaptować.* Inaczej mówiąc robić to, w czym człowiek doskonale swój kunszt od dziesiątek tysięcy lat, czyli w przystosowywaniu się do nowych okoliczności. *Nihil novi sub sole.*

CIEMNOŚĆ, WIDZĘ CIEMNOŚĆ

Dla osób wychowanych na SF lat 50. i 60. współczesna fantastyka może być niestraw-

na. Nie z powodu bariery konceptualnej czy językowej, lecz czarnowidztwa. Na jaki film do kina nie pójdziesz i jakiej książki ostatnio do ręki nie weźmiesz, nic tylko *doom and gloom* – katastrofa, zniszczenie, nędza i beznadzieja. Koniec ropy, koniec wody, koniec natury i w ogóle wszystkiego. Łatwiej znaleźć czterolistną koniczynkę, niż utwór z bodaj odrobiną futurologicznego różu. Owszem, apokaliptyczne klimaty nie są w SF niczym nowym – by wspomnieć choćby powieść „*Gdy zderzą się światy*” sprzed lat ponad osiemdziesięciu – nigdy jednak nie były one tak wszechobecne i przytłaczające, jak teraz. To, co najbardziej rzuca się w oczy, to praktycznie 180-stopniowa zmiana perspektywy, nastrój gremialnego antyhumanizmu i niemal jednogłośnie potępiania nauki i techniki jako głównych, jeśli nie jedynych, winowajczyń wszelkich nieszczyć przeszłych, teraźniejszych i przyszłych. Skąd ten potworny pesymizm, skąd ten chóralny lament „oj biada nam, biada, czeka nas zagłada”? Z różnych przyczyn, ale na pewno nie z trzeźwej oceny realiów.

KONIEC, KTÓREGO NIE BYŁO

Pod względem intensywności czerni proctw, nikt chyba nie przebije „zielonych”, czyli właśnie ekofantastyki. Aczkolwiek, ironizując, można powiedzieć, że nawet oni dzielą się na optymistów i pesymistów. Optymiści to ci, którzy uważają, że naszą cywilizację lada moment szlag trafi, ale przyroda – czytaj: Gaja – odetchnie. Pesymiści natomiast nie widzą już żadnej nadziei dla nikogo i niczego. Cała katowana ludzka

reka biosfera niebawem wyzionie ducha.

To straszne i zarazem już trochę śmieszne po tylu kasandrycznych przepowiedniach, z których jak dotąd nie spełniła się żadna. Przykładowo, w 1968 r. ukazała się „*Bomba populacyjna*” autorstwa Paula B. Ehrlicha, książka, która adekwatnie do tytułu narobiła sporo hałasu i której katastroficzny ton najlepiej oddaje następujący cytat: *Walka o wyżywienie ludzkości jest przegrana. W latach 70. setki milionów umrą z głodu (...). Jest już za późno, by w jakikolwiek sposób zapobiec znaczącemu wzrostowi śmiertelności na świecie.*

Jakby sam chciał siebie przeliczyć, w swych kolejnych prognozach głoszonych tuż po wydaniu „*Bomby...*”, Paul B. Ehrlich poszedł jeszcze dalej: *Za dziesięć lat większość życia w morzach wyginie. Wiele nadmorskich obszarów trzeba będzie ewakuować ze względu na fetor rozkładających się ryb. (...) W roku 2000 Zjednoczone Królestwo będzie małą grupką zubożałych wysepek, zamieszkałych przez 70 milionów głodnych ludzi. Gdybym był hazardzistą, założyłbym się nawet, że do 2000 roku Anglia w ogóle przestanie istnieć.* I bardzo dobrze, że autor hazardzistą nie jest, bo wszystko by przegrał. Zjednoczone Królestwo boryka się z mnóstwem różnych problemów, ale głód raczej do nich nie należy. Są rzecz jasna miejsca na świecie, gdzie tak różowo nie jest, jednak w skali globalnej sprawy mają się dużo lepiej, niż w czarnych wizjach Ehrlicha. Według Food and Agriculture Organization liczba osób chronicznie niedożywionych (tj. otrzymu-

DŁUGOUCHY RONIN

PAWEŁ DEPTUCH



W TYM ROKU MIJA RÓWNO TRZYDZIEŚCI LAT, ODKĄD USAGI YOJIMBO (JAP. KRÓLIK PRZYBOCZNY) ZADEBIUTOWAŁ NA KARTACH KOMIKSU. PRZEZ TEN CZAS ZOSTAŁ OBSYPANY LICZNYMI NAGRODAMI I UZYSKAŁ STATUS JEDNEJ Z NAJLEPSZYCH GRAFICZNYCH SERII AUTORSKICH.

Urodzony w 1953 r. na Hawajach **Stan Sakai** – syn amerykańskiego żołnierza stacjonującego w Kyoto i Japonki wywodzącej się z rodu średniowiecznych samurajów – od najmłodszych lat fascynował się filmami samurajskimi, które często oglądał w starym kinie położonym niedaleko domu. Duże znaczenie dla jego późniejszej kariery miało też dziedzictwo matki, która zaszczepiała w nim pasję do japońskiej kultury, pielęgnowała rodowe tradycje i przekazywała wiedzę o przodkach. Drugą jego miłością, nieakceptowaną przez rodziców, były komiksy, które pchnęły go na drogę przyszłej kariery. Po przeprowadzce do Kalifornii rozpoczął studia w Art Center College of Design i dorabiał jako ilustrator książek i magazynów. W branży komiksowej zadebiutował jako liternik serii „Groo The Wanderer” Sergio Aragonesa i to w tym kierunku rozwijał swe umiejętności (m.in. na prośbę Stana Lee wklejał teksty do niedzielnych wydań „Spider-Mana”). Dopiero w 1984 r. nadszedł czas na pełnoprawny debiut.

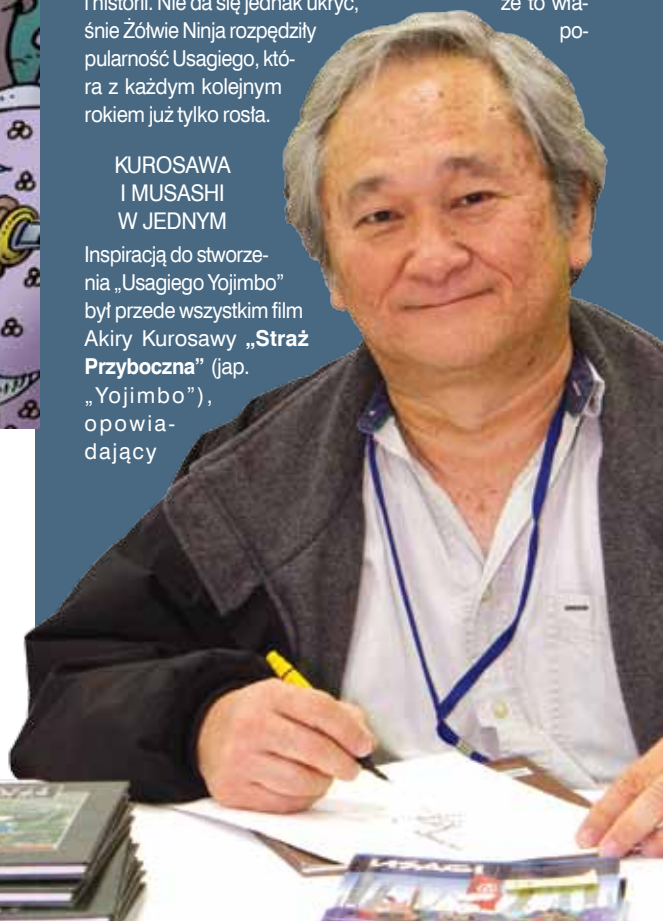
NA GRZBECIE ŻÓŁWI

Pierwszy epizod o Usagim zadebiutował w listopadzie w antologii „**Albedo Anthropomorphics**”. Zanim otrzymał własną zeszytową serię, przez trzy lata pojawiał się w postaci luźno powiązanych opowiadań na łamach „Albedo” oraz innej antologii, „**Critters**”. Sakai pierwotnie wymyślił Usagiego jako drugoplanowego bohatera w przygodach **Nilsona Groundthumpera**, królika przeżywającego przygody w średniowiecznej Europie. Jednak to Usagi okazał się na tyle wyrazisty, że w ostateczności twórca skupił się właśnie na nim. Dzięki temu na karty opowieści mógł przelać całą miłość do japońskiego kina, do kultury, sztuki, legend i historii.

Początkowe przygody z udziałem długouchego samuraja przeszły bez echa, aż do czasu, gdy dzięki „**Wojowniczym żółwiom ninja**” Eastmana i Lairda wybuchła moda na czarno-białe opowieści o antropomorficznych zwierzętach biegłych w sztukach walki. W tym czasie powstały niezliczone kuriozalne plagiaty, próbujące uszczknąć nieco z tego sukcesu. Zniknęły one równie szybko, jak się pojawiały. W ostateczności na polu bitwy pozostały tylko żółwie i królik, które jako jedyne broniły się zarówno pod względem rysunków, jak i historii. Nie da się jednak ukryć, że to właśnie Żółwie Ninja rozpędziły popularność Usagiego, która z każdym kolejnym rokiem już tylko rosla.

KUROSAWA I MUSASHI W JEDNYM

Inspiracją do stworzenia „Usagiego Yojimbo” był przede wszystkim film Akiry Kurosawy „**Straż Przyboczna**” (jap. „Yojimbo”), opowiadający



FANTASTYCZNY ŚWIAT –IZRAEL CZ. 1

MAREK GRZYWACZ



O ILE WPŁYW AUTORÓW ŻYDOWSKICH ORAZ POGHODZENIA ŻYDOWSKIEGO NA LITERATURĘ ZACHODU JEST OCZWISTY, TO LITERATURA TWORZONA W JĘZYKU HEBRAJSKIM STANOWI MNIEJ ZNANE TERYTORIUM. FANTASTYKA IZRAELSKA JEST JESZCZE MNIEJ ROZPOZNAWALNA.

Izrael tworzyli przede wszystkim żydowscy emigranci z państw europejskich, połączeni narodowością, religią i wielowiekową tradycją, ale od pokoleń egzystujący w kulturach Starego Kontynentu. Dzieje budowy państwowości są w tym przypadku powiązane z dziejami tworzenia nowej tożsamości.

Unikalność kultury Izraela jest łatwa do dostrzeżenia, także w literaturze. Odrębność od dziedzictwa zachodniego warunkuje sam język – hebrajski, który przez stulecia funkcjonował wyłącznie w kontekście religijnym (w przeciwieństwie do jidysz, „żywego” języka większości europejskich Żydów), by powrócić do świeckiego użytku po uwspółcześnieniu przez syjonistów, a później ustanowieniu urzędowym językiem Izraela.

DWA POCZĄTKI I DWA KOŃCE

Izraelska fantastyka pojawiła się długo przed powstaniem Izraela, w czasie tworzenia się ruchu syjonistycznego – i w bezpośredniej relacji z nim. Mowa o utopijnych wizjach przyszłości, które ukazywały prosperujące państwo żydowskie w Palestynie. **Elihanan Levinsky** w 1892 roku opublikował „Wyprawę do kraju Izrael w osiemsetnym roku szóstego tysiąclecia” („L'Eretz Yisrael b'Shnat T"t b'Elef HaShishi”) ukazującą żydowskie państwo narodowe roku 2040. Prekursor syjonizmu **Theodor Herzl** stworzył w 1902 roku dzieło „Stara nowa ziemia” („Altneuland”), znane także pod tytułem hebrajskiego przekładu „**Tel Awiw**” („Wzgórze Wiosny” – tytuł powieści wybrano na nazwę osiedla, które stało się potem stolicą Izraela). Przystawiało ono wielonarodową utopię na wzór

zaawansowanych cywilizacyjnie państw Europy. Obie powieści miały przede wszystkim wymowę ideologiczną i ciężko je klasyfikować jako SF.

Prawdziwy początek fantastyki w Izraelu to okres po ogłoszeniu niepodległości w 1948 roku i zakończeniu wojny z państwami arabskimi. Chodzi o lata 50. XX wieku, kiedy w Izraelu zaczęły cieszyć się popularnością hity kinowe z USA, takie jak „Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia” czy „Wojna światów”. Na tej fali zaczęło tłumaczyć prężnie rozwijającą się w Stanach literaturę fantastyczną. Pojawiło się wyspecjalizowane wydawnictwo, **Matzpen**, który wypuściło między innymi pierwsze tłumaczenia Roberta A. Heinleina na hebrajski. W 1958 powstały pierwsze niskobudżetowe czasopisma tematyczne – skupione na tłumaczeniach tekstów bardziej przygodowych „**Mada Dimioni**” i publikujące opowiadania Isaaca Asimova czy Roberta Sheckleya „**Cosmos: Science Fiction Stories**”. Co ciekawe, tłumacze i redaktorzy, a w przypadku „Mada Dimioni” nawet amerykańscy autorzy, pozostawali anonimowi. Oba magazyny upadły szybko, podobnie jak Matzpen. W tym krótkim okresie nie wyszła ani jedna książka rodzimego autora – źródła wymieniają anglojęzyczną, wydaną w Londynie w 1959 roku powieść o zagładzie nuklearnej „Poziom 7” filozofa **Mordechaia Roshwalda** (polskie wydanie – wydawnictwo IPS 2010), ale powstała ona po wyemigrowaniu pisarza do USA, zaś on sam zawsze odcinał się od science fiction.

Mimo kiepskiej passy fantastyki na rynku wydawniczym, tematykę fantastyczną wykazywała na wszelkie sposoby literatura **pulp**, poczytna

w Izraelu od lat 30. Pulp izraelski eksploatował głównie postacie zaczerpnięte z popkultury amerykańskiej, szczególnie Tarzana, którego przygody, nierzadko utrzymane w estetyce taniej science fantasy bądź horroru, pisały całe rzesze hebrajskojęzycznych kontynuatorów, a także np. Flasha Gordona czy... Godzili. Z całkowicie oryginalnych herosów izraelskiego pulpu warto wymienić **Rala Darka**, broniącego w latach 60. i 70. ludzkich kolonistów lecących ku Alpha Centauri przed kosmicznymi niebezpieczeństwami.

Kolejna fala zainteresowania fantastyką rozpoczęła się pod koniec lat 70., dzięki ekspansji zachodniej popkultury, a dokładnie pierwszej odsłonie filmowej sagi „Gwiezdne wojny”, która odniosła ogromny sukces także w Izraelu. Na wzrost popularności gatunku zareagowało dziesięć wydawnictw, które zaczęły publikować klasykę gatunku – m.in. Herberta, Le Guina, Leibera, Pohla, Nivena, Zelaznego. Do połowy lat 80. pojawiło się ok. 190 tłumaczeń. Co istotniejsze, tworzyły się zaczątki fandomu, inspirowane się magazynem, który obecnie cieszy się statusem legendy.

„**Fantasia 2000**” pojawiła się z inicjatywy redaktorów **Eli Tene** i **Aharona Hauptmana** w grudniu 1978, a swój żywot rozpoczęła jako izraelska edycja „Fantasy & Science Fiction”, co zapewniło takie atrakcje, jak przedruki felietonów Asimova. Pismo wyróżniało się oprawą i było drugim najdroższym magazynem na krajowym rynku, ale wysoka jakość przyciągała czytelników. Co najważniejsze, magazyn jako pierwszy zaczął regularnie publikować rodzimych młodych

NIEISTOTNA OFIARA PROFESORA PRYSYPKINA

JAROSŁAW URBANIUK

Profesor Prysypkin – ciemna twarz radzieckich badań naukowych” (tytuł oryginału: „Profesor Prysypkin”). Reżyseria: Awas Tilofiejew. Film dokumentalny. Produkcja: Rosja. Rok produkcji: 1992. Dane techniczne: Barwny. 56 minut.

Udział biorą:

Profesor Tymon Efraimowicz Goridze (ur. 1921)

Doktor Uniwersytetu Moskiewskiego, członek Akademii Nauk ZSRR. Za biografię Iwana IV Groźnego (1952) otrzymał Nagrodę Stalinowską. Autor „Nowogrodu Wielkiego” (1956) i monumentalnej „Historii nauki radzieckiej” (1982) oraz tomów wierszy: „Błędy” i „Przypadek”.

Profesor S.L. Howard (ur. 1924)

Na Uniwersytecie w Cambridge wraz z Wiktorem Feremanem badał wirusa opryszczki (Laboratorium Cavendisha). Autor szeregu prac z zakresu wirusologii z dziedziny profilaktyki i taksonomii. W latach siedemdziesiątych w Ugandzie i Zairze prowadził badania nad pochodzeniem wirusa Marburg, następnie pracował jako ochotnik w prowincjonalnym szpitalu w Nigerii. W latach osiemdziesiątych kontynuował pracę nad filowirusami. Laureat Medalu Leeuwenhoek’a i Nagrody Laskera.

Kapitan Konstanty Piotrowicz Kosogrodzki (ur. 1929)

Jego rodzice zmarli podczas Wielkiego Głodu. W latach 1949–1953 pracownik NKWD i strażnik w łagrze, początkowo na Kołymie, później w Kazachstanie. W uznaniu zasług umożliwiono mu ukończenie studiów i pracę w KGB, przy czym oficjalnie pracował jako kurier dyplomatyczny. Nawiązał kontakt z wywiadem amerykańskim i w 1965 roku uciekł na moment przed ostatecznym zamknięciem Berlina Zachodniego. Zaocznie skazany na śmierć. Autor kilku książek o KGB i niezależny komentator polityki międzynarodowej.

Nina Aleksiejewna Fereman (ur. 1927)

Pracowała jako technik ambulatoryjny w szpitalu na tyłach armii radzieckiej. W roku 1949 aresztowana po tym, jak jej wuj Wiktor Fereman we francuskim radiu oskarżył Stalina o ludobójstwo (po tym incydencie został wydany z Sorbony). W latach 1949–1950 przebywała w łagrze w Kazachstanie. Później pracowała w zespole profesora Andrzeja Wasyliewicza Prysypkina w jego laboratorium pod Irkuckiem. Ułaskawiona

w roku 1952. Ukończyła biologię i podjęła pracę na Uniwersytecie Moskiewskim.

Awas Tilofiejew – reżyser filmu „Profesor Prysypkin – ciemna twarz radzieckich badań naukowych”

To, co będą państwo oglądać, to bardziej surowy materiał niż film. Z kilkunastu zarejestrowanych godzin ocalał zaledwie fragment. Myślę, może nieskromnie, że opowiedziałem historię... że ci, którzy uczestniczyli w tej historii, opowiedzieli o niej nie dla sławy, bo mogła im ona przynieść raczej obelgi i pogardę, ale ponieważ ta opowieść tkwiła w nich i musiała zostać wypowiedziana.

Profesor Tymon Efraimowicz Goridze

Tacy jak Jermak Timofiejewicz pojawiają się w każdym czasie. Jest w nich i okrucieństwo, i odwaga, i bezwzględność, i trochę szaleństwa. Jermak właśnie taki był: kozak, rzeźnik, syn swojej epoki. Słynął z bezczelności i wielkiej ambicji, ale wtedy inni na Syberię nie chodzili. To było jak eksploracja nowego lądu. Jak Anglicy, Francuzi i Hiszpanie w Nowym Świecie.

Na Syberię wysłali go co prawda Stroganowowie, ale był gotów zdradzić ich natychmiast, kiedy tylko zaczęłoby mu się to opłacać. Bo cel był jeden – Chanat Syberyjski. Małe państewko możliwe do opanowania przez kilka tysięcy ludzi. To się zawsze opłaca.

Pierwsza wyprawa Jermaka, z roku 1552, była prawdziwym początkiem podboju Syberii. To wiemy teraz. Wtedy kozacy po prostu przywieźli skóry i wiedzę o nowych terenach. I jeszcze coś – nową chorobę.

Pierwszy znany przypadek zakażenia wystąpił prawdopodobnie w kilkudziesięcioosobowej grupie zwiadowczej. Kozacy zbłądzili na północ, a gdy wrócili, Kaszłyk, stolica chanatu, była już podbita przez ludzi Timofiejewicza.

Dwaj zwiadowcy, Andrzej Czikowski i Michał Wanienko, zostali pokąsani przez wilki. Setnik zapisał ich do prowizorycznego cyrkułu i, jak wszyscy, podejrzewał wściekłość, ale po kilku dniach poczuł się lepiej. Kiedy jednak wraz z kilkoma towarzyszami upili się na majdanie, doszło do bójki, prawdziwej obozowej bitwy na pięści. Dość powiedzieć, że jeden z kozaków odgryzł drugiemu ucho. Kilkunastu związano „w kija”, co w tamtych czasach było normalną metodą studzenia głów. Jednak w zachowaniu pozostałych również zaszła dziwna zmiana: do tej pory należeli do najdzielniejszych żołnierzy Jermaka, często bywali zwiadowcami, lecz po wspomnianej awanturze już podczas pierwszej potyczki

POGLĄDOMAT

BARTOSZ DZIAŁOSZYŃSKI

W każdy czwartek Jego Wysokość Eimonn-Friedrich, Fürst von Dreibrücken und Vierschanzen, zapraszał na kolację jednego ze swych poddanych. Był to zwyczaj świadczący tyleż o życzliwości, co o roztropności panującego. O życzliwości – gdyż książę Eimonn-Friedrich dawał w ten sposób do zrozumienia, że nie zamyka się w czterech ścianach swego ulubionego pałacyku myśliwskiego Sankt-Eustache, lecz jest otwarty na swych poddanych i chętnie słucha ich opinii (ale co później zrobi z tymi opiniami – to już jego sprawa). O roztropności – bo jako jeden z nielicznych książąt Rzeszy dobrze odrobił lekcję wielkiej smuty francuskiej, podczas której kuzyn Louis stracił nie tylko tron, ale i głowę. Dotarło do niego, że inaczej już nie da się rządzić.

Oczywiście na kolację czwartkowe nie trafiali goście przypadkowi. Zaproszonych wybierał pan tajny radca dworu Willibald Graf von Fuchsenwitz. Najczęściej byli to ludzie, o których pan tajny radca usłyszał w kancelarii dworskiej, o których napisano ciekawy artykuł w „Monitorze Tatsburskim” albo których polecili mu ludzie tacy jak arcybiskup Süssundgrün bądź feldmarszałek Georg Herzog von Überzwiebel.

Dziedzina państwowa księcia Eimonna-Friedricha liczyła zaledwie kilkadziesiąt tysięcy dusz, więc wszystkich ciekawych poddanych udało się wyszukać w ciągu pierwszych trzech miesięcy. Później pan tajny radca miał z tym coraz większy problem. Fürst Eimonn-Friedrich wyraźnie życzył sobie, aby żadnego, nawet najciekawszego gościa nie zapraszać na kolację czwartkową po raz drugi. Pan tajny radca musiał więc zapraszać coraz mniej oryginalnych ludzi, którzy pletli coraz większe bzdury. Ratunkiem stało się zapraszanie cudzoziemców i przyjezdnych. Gdy tylko wieść o kolacjach czwartkowych rozeszła się po całej Rzeszy, do księstwa tatsburskiego coraz częściej zaczęli przybywać różni poszukiwacze szczęścia, mający zamiar sączyć dziwne idee do książęcego ucha lub naciągnąć Eimonna-Friedricha na taki lub owaki interes życia.

Pewnego dnia na kolacji czwartkowej znalazł się pan Stanislas Niekiep. Ostatni numer „Monitora Tatsburskiego” donosił, że oto do stolicy księstwa przybył wędrowny wynalazca, podróżujący po dworach książąt Rzeszy i prezentujący monarchom oraz ich doradcom skonstruowany przez siebie aparat. Natury wynalazku pan Niekiep nie ujawniał dziennikarzom. Twierdził, że jest to sprawa wagi państwowej, *arcanum imperii*, które może zaprezentować tylko przed majestatem dworu lub w gabinecie rządowym. Ta notatka prasowa zainteresowała pana tajnego radcę.

Owszem, na kolacjach czwartkowych bywali już wynalazcy, ale akurat te wieczory należało zaliczyć raczej do częściej rozrywki niż do wydarzeń, które mogłyby ułatwić księciu Eimonnowi-Friedrichowi oraz jego doradcom mądre i sprawiedliwe rządzenie. Jeden prezentował aparaturę do krystalizacji flogistonu, drugi – projekt łodzi podwodnej napędzanej ogniwem Volty, trzeci – urządzenie do rozmawiania na duże odległości za pomocą trąbek przykładanych do ust i uszu.

Nawet pan tajny radca, niespecjalnie interesujący się naukami technicznymi i przyrodniczymi, wiedział, że to się kupy nie trzyma; że to wszystko szaleńcy albo naciągacze. Nie miał serca do wynalazców. Z drugiej strony nie miał też pomysłu na najbliższą kolację czwartkową, dlatego polecił swojemu sekretarzowi wysłać zaproszenie do pana Niekiepa.

Przy stole książęcym pan Stanislas zachowywał się swobodnie, zdradzając manieri człowieka bywałego w świecie. Miał na sobie postępowy, międzynarodowy frak („międzynarodowy” – bo modny od czasu ostatniego kongresu monarchów europejskich) i zeszlowieczną perukę. Niby nie było w tym nic dziwnego, bo kilku uczestników kolacji nosiło postępowe fraki, a kilku innych – zeszlowieczne peruki; jednakże nikt nie nosił zarazem i fraka, i peruki. Takie zestawienie wydawało się pewnego rodzaju nietaktem.

Pan Niekiep dobrze mówił po niemiecku, francusku i włosku, bo w tych trzech językach toczyła się rozmowa przy stole. Akcent oraz pewne zwroty zdradzały jednak, że żaden z tych języków nie był jego językiem rodzimym. Za krzesłem gościa ustawiono stolik z tajemniczym wynalazkiem, na razie przykrytym białą płachtą. Herr Stanislas nie narzucał się ze swoim tematem. Dopiero kiedy umilkł zgłębienie stołowego, kiedy przestały wojowniczo szczekać widelce i noże, łyżki zaprzestały szturmów na wazy z zupą, a łyżeczki ofensywy na talerzyki z ciastami i kremami, kiedy umilkły artyleryjskie salwy korków od szampanów i win, lokaje zaczęły uprzątać niedojedzone resztki mięs i warzyw z talerzy, tak jak felczerzy uprzącają rannych z pobojowiska; kiedy książęcy goście rozsiedli się wygodnie w fotelach niczym generałowie ukontentowani tym, że stoczyli właśnie całkiem przyjemną bitwę, a pan tajny radca wyciągnął olśniewającą tabakierę i zaczął częstować współbiesiadników tabaką – dopiero wówczas Jego Wysokość Eimonn-Friedrich powiedział uprzejmie:

– Drogi panie Niekiep, jesteśmy bardzo ciekawi pańskiego słynnego wynalazku, o którym jak dotąd wiadomo nam tylko tyle, że jest słynny. Czy zechciałby pan zaprezentować nam to urządzenie i objaśnić, do czego może być przydatne?

Pan Stanislas wziął tabakierę z rąk tajnego radcy. Niuch-niuch. A-a-apsik! „G’sundheit” – powiedziało uprzejmie towarzystwo. Peruka na głowie wynalazcy lekko się przekrzywiła. Pan Stanislas szybkim ruchem przywrócił ją do właściwej pozycji i przyklepał. Tabakiera przeszła w ręce kolejnego biesiadnika, zaś pan Niekiep zamasztył gestem wytrawnego sztukmistrza zdjął z maszyny białą płachtę. Książę i jego doradcy ujrzeli urządzenie, które przypominało katarynkę lub dużą pozytywkę.

– Wasza Wysokość! Wasze Ekscelencje! Czas brać się do pracy, jak mawiają filozofowie, kiedy zaczynają myśleć – rzekł z ukłonem. – Nazywam to urządzenie poglądomatem. Świadom jestem, iż nazwa jest niezbyt fortunna, ale niestety, dobra Natura wyposażyla mnie w umiejętności językowe w znacznie

ŻYWOTY BÓSTW ŚMIERTELNYCH

MARCIN MLECZAK

– odparł chłopak, wierząc się na krześle pod portretami regenta i jego matki.

– Cóż, w liście, jaki dostałem miesiąc temu, rzeczywiście nie wzniosła się ponad ponury bełkot, próbując łączyć najskrajniejszy liberalizm z najjaskrawszym monarchizmem, do czego tylko kobieta może być zdolna – zaśmiałem się, udając, że nie dostrzegam podziwu, jaki rozbłysnął w oczach Julesa na wieść, że koresponduję z panią Sitz. – Gdyby tylko kobiety pisały, świat przypominałby każdą z gotującym się błotem, bulgoczącą bez ładu i składu. Co najwyżej ta każda pachniałaby różami.

Jules zaśmiał się z moich niskich dowcipów, nie wiem, czy przez lizusostwo, czy on też pozostawał pod wpływem mody na mizoginistyczne żarty, wywołanej zresztą w znacznej mierze przez wysoki pani Sitz.

– A teraz wybac, mój drogi, ale będę cię musiał przeprosić. – Wskazałem na zalakowany list.

„Proszę o natychmiastowe przybycie do Tjului”. Przeczytałem to, czego się spodziewałem. Nie domyśliłbym się natomiast, że pod bilecikiem znajdzie się podpis samego regenta.

Wychodząc, skinąłem na Julesa, by podążył za mną.

Chłopak nie był mi w ogóle potrzebny, jednak życzliwość względem podwładnych traktowałem jako inwestycję na przyszłość. Do Oświecenia i Historii prócz idealistów garnęły się zwykle kreatury, karierowicze i wszelkiej maści bydlęta, jak to miało miejsce w innych Ministerstwach. Zaobserwować dało się natomiast jedną, acz niezwykle istotną różnicę – nawet najmniejsza poczwara z naszego departamentu przejawiała pewne ambicje literackie, polegające choćby na pisaniu fraszek, wygłaszanych po niedzielnych obiadach. Niektórzy próbowali swoich sił w powieściach, pamiętnikach czy dziennikach. I chociaż mało które dzieło takiego autoramentu mogło liczyć na publikację, ich wpływ na rzeczywistość istniał. Każdy taki domorosły literat zasypywał swoją twórczością przyjaciół, krewnych, współpracowników, prosząc o opinie, chcąc się pochwalić czy kogoś rozbawić. Nie miałem wątpliwości, że przewijam się w tych tekstach, choćby jako pozornie anonimowa figura, symbolizująca państwo, zwierzchność lub biurokrację. Tego typu maciupeńkie deformacje rzeczywistości, pomnożone przez grono mi podlegających urzędników, mogły skutkować dostrzegalną zmianą, mającą wpływ na moich potomków, gdy już ich oczywiście spłodzę. A nie chciałem, by były one dziećmi intryganta, złodzieja i sodomity, więc od czasu do czasu sprawałem któremuś z sekretarzy drobną radość, taką właśnie, jak zabranie do pałacu, licząc, iż to dobro wróci do mnie po latach.

I tak siedzieliśmy razem z Julesem w bryczce, mknąc ulicami Akwizgranu.

– Czym się zajmujesz, przyjacielu? – zagadnąłem, pochylając się nad dwudziestolatkiem.

– Yyy... Pan hrabia być może raczył zapomnieć, pracuję jako sekretarz w Ministerstwie, w dziale pana...

– Mój drogi, nie podejrzewaj mnie o demencję, mam dopiero czterdzieści lat. Chodziło mi o to, czym się zajmujesz po pracy, bo przecież w przypadku młodzieńca twojego rodzaju nieprawdopodobieństwem jest, by nie posiadał jakichś zainteresowań literackich i naukowych.

– Ach, tak, tak – uspokoił się chłopak i z dumą dodał: – Zajmuję się metodologią historii antycznej.

– Na jakim przykładzie?

– Interesują mnie zmiany w życiorysie Juliusza Cezara. Próbuję dociec, w jaki sposób Swetoniusz, Kasjusz i Szekspir uformowali to, z czym obecnie mamy do czynienia. Chciałbym zbadać stopień, w jakim mitologia regencji wpłynęła na wizję boskiego Juliusza i dociec, czy można wykorzystać to intensywniej.

– Widzisz perspektywy jeszcze mocniejszego czerpania z Cezara? – zdumiałem się, wcale nie teatralnie. – Wydawało mi się, że już bardziej się nie da.

– Rozważam opcję, coż, może zabrzmi to dziwnie, zablokowania negatywnego mitu Cezara przy pomocy bitwy o Alezję.

– To ciekawe. Jak można zablokować negatywny mit?

– Gdy pojmujemy mit jako użycie prawdy w konkretnym, współczesnym celu, ryzykujemy, iż nasi przeciwnicy wykorzystają fakty do kreacji innego mitu o przeciwstawnej trajektorii.

– Tak, to oczywiste.

– Mój pomysł polega na takim zmienieniu faktu, by nasze Ministerstwo mogło korzystać z obu trajektorii, i bitwa pod Alezją wydaje mi się doskonałym przykładem. Kiedy zestawiamy regenta z Cezarem, zwycięstwo Cezara nad Gallami sugeruje jego męstwo, geniusz wojskowy, rozmach. Ale poeta zniechęcony do naszego reżimu może napisać poemat, w którym skorzysta z historii obłężenia, by przedstawić Cezara jako pełnego ambicji egoistę, zniewalającego sąsiadujące narody. Taki degenerat, degenerat obdarzony wielkim talentem, może narzucić wizję regenta jako mrocznego Cezara, a siebie i swoich współtowarzyszy ukazać jako cierpiących za ojczyznę wojów.

Poruszyłem się nerwowo na siedzeniu. Młodzieniec wchodził na te polityczne tematy, które graniczyły ze śliskością.

– Jeśli jednak – kontynuował – doprowadzić do odparcia przez Gallów rzymskich legionów, wtedy Ministerstwo może przedstawiać regenta dwojako. W części druków jako dzielnego Cezara, w innej części – jako równie dzielnego i zwycięskiego Wercyngetoryksa. Gdybyśmy zaś doprowadzili do sojuszu Cezara z Gallami, byłibyśmy w stanie wykreować optymalny na obecne czasy mit, choć to bez wątpienia byłoby dzieło dużo bardziej pracochłonne.

DZIEWCZĘ, KTÓRE POSZŁO NA SUSHI

(The Girl-Thing Who Went Out for Sushi)

PAT CADIGAN

W dziewiątej dekadzie swojej drugiej rundy na służbie, Fry rąbnęła w górę lodową Głównego Pierścienia i złamała nogę. Żeby to jeszcze rozłupała kość – gdzie tam, wielokrotne złamanie! Rany! Ale się urządziła! Na szczęście zdążyliśmy już skończyć obsługę większości podglądu, robotę, która jak na mój rozum była w znacznej mierze takim tam zajęciem, niż faktyczna praca. Ale były to ostatnie dekady przed uderzeniem Okeke-Hightower i wszyscy dostali kometowej gorączki.

Przez niemal trzysta (gruntowych) lat nie było żadnych dających się zaobserwować uderzeń w Kolosa, nie licząc tej Shoemaker-cośtam, ale wtedy i tak nikt nie znalazł się na tyle blisko, żeby dobrze się przyjrzeć. Teraz każda stacja informacyjna, każdy instytut badawczy i wszelkiej maści burzuje całego Układu Słonecznego bulili Jovian Operations za widok z pierwszego rzędu. Każda załoga JovOpu brała w tym udział, montując kamery na kamerach, a zapasowe kamery na zapasowych kamerach: obserwacyjne, podczerwone, rentgenowskie i wszelkie inne. Fry sama była tym nieźle podkrecona, w kółko paplając jak to wspaniale, że będzie mogła to zobaczyć na żywo. Dziewczę powinno było uważać, gdzie się pakuje.

Byłam okutana i wiedziałam, że kombinezon Fry wytrzyma, ale bezpióre dwunogi podatne są na zawroty głowy, kiedy odnoszą obrażenia. Wydmuchałam więc bańkę wystarczająco wielką dla nas obu, opatuliłam jej nogę, do oporu naszprycowałam ją prochami i wezwałam pogotowie. Meduza wraz z resztą była już po drugiej stronie Kolosa. Powiadomiłam ich, że nastąpiła zmiana planu i ktoś inny będzie musiał skończyć za nas ostatnie kilkoro oczu w radianie. Dziewczę było sztywnym jak cholera dwunogiem, zachowującym spokój, jak gdybyśmy wyluzowywały na koniec zmiany. Jedyny problem, jaki zdawał się ją trapić, to orientacja w przestrzeni. Fry chwyciła umowną orientację szybciej, niż którykolwiek dwunóg z jakim kiedykolwiek pracowałam, ale nigdy nie zdarzyło jej się to na prochach. Starałam się zaprzętać jej uwagę, podrzucając wszelkie znane mi plotki, a kiedy wyczerpał mi się repertuar, plotłam trzy po trzy.

I wtedy ni z tego ni z owego stwierdziła:

– Powiem krótko, Arkae, jak dla mnie starczy.

Jej głos zabrzmiał cholernie definitywnie, dlatego uznałam, że ma dosyć. Aż straciłam rezon, bo tak się składa, że polubiłam to nasze dziewczę.

– No cóż, skarbie, będziemy tu wszyscy za tobą tęsknić.

Ale ona zaśmiała się tylko.

– Nie, nie, nie, nie odchodzę. Idę na sushi.

Poklepałam ją po ramieniu, sądząc, że to tylko chwilowe zachwianie równowagi spowodowane prochami i to przez nie gada bzdury. Fry nie była zwyczajnym dziewczęciem – tu

miała wyrobioną pozycję, a z drugiej strony zawsze była kimś wyjątkowym. Tam, na Gruncie, była mózgowcem, naukowcem najwyższej klasy, a do tego królową piękności. Zgadza się – bezpiórą, dwunogą, genialną królową piękności. Albo wierzysz, albo leżysz, jak mawia Szczęściara.

Fry była z nami od trzech i pół dekady, kiedy wygadała się o tej królowej piękności. Cała załoga luzowała na koniec zmiany – ona, ja, Dubonnet, Szczęściara, Ciocia Chovie, Plusk, Wabik, Glynis i Fred – i wszyscy nieomal traciliśmy orientację.

– No, no – mruknął Dubonnet. – O pokój na ziemi też poprosiłaś? – Nie zrozumiałam pytania, ale zabrzmiało to obraźliwie. Prasnęłam go trzy razy i zasugerowałam, żeby odnosił się z szacunkiem do cudzej kultury.

Ale Fry powiedziała tylko:

– Nie, nie mam pretensji o to, że pytacie. Te rzeczy faktycznie są głupie. Nie mam pojęcia, czemu ludzie ciągle zwracają sobie nimi głowę. Niby jesteśmy tacy zaawansowani i oświeceni, a wciąż ma znaczenie, jak kobieta wygląda w stroju kąpielowym. Przepraszam, dwunożna kobieta – dodała, śmiejąc się nieznacznie. – Nie, temat pokoju na ziemi nigdy nie wypłynął.

– Skoro miałaś do tego taki stosunek – odezwała się Ciocia Chovie, wielka, o poważnym spojrzeniu i wszystkich ośmiu ramionach wywiniętych w esy-floresy – czemu na to poszłaś?

– Bo był to jedyny sposób, żeby się tu dostać – wyjaśniła Fry.

– Naprawdę? – zdziwił się Plusk na sekundę przed tym, zanim sama zdążyłam wyrwać się z tym pytaniem.

– Tak, naprawdę. Zgarnęłam kupę szmalu za sam wygląd i reklamę produktów, plus pełne stypendium z możliwością wyboru uczelni. – Fry się uśmiechnęła, a ja wyobraziłam sobie, że tak właśnie musiała wyglądać, kiedy koronowali ją na Królową Bezpiórych Dwunogich Babek Geniuszek, czy jakoś tak. Nie było w tym uśmiechu obłudy, ale twarz dwunoga to tylko jeszcze jedna grupa mięśni; byłam pewna, że stanowił on coś, czego się wyuczyła. – Zaoszczędziłam ile się dało, żeby starczyło mi na dodatkowe zajęcia po obronie dyplomu. Z geologii.

– Ale z geologii gruntowej – wtrąciła Szczęściara. Dawniej nazywała się Szarlota, ale sama pierwsza by przyznała, że ma więcej szczęścia niż rozumu.

– Dlatego odłożyłam na dodatkowe zajęcia – wyjaśniła Fry.

– Musiałam osiągnąć jak najwięcej, przy pomocy narzędzi, którymi dysponowałam. Wiesz jak to jest. Wszyscy to wiecie.

Wiedzieliśmy.

Zanim trafiła do nas, Fry pracowała z innym załogami JovOpu, a wszystkie z nich były mieszane: dwunogi i sushi. Przypuszczam, że wszyscy ją lubili i *vice versa*, ale w końcu

HISTORIA NATURALNA JESIENI

(A Natural History of Autumn)

JEFFREY FORD

Pewnego jesiennego popołudnia Riku i Michi jechali należącym do Riku srebrnym kabrioletem wzdłuż wybrzeża Półwyspu Izu, na południe od Numazu. Było ciepło jak na koniec października, powietrze było czyste, a promienie słońca odbijały się od fal w Zatoce Suruga. Michi miała na nosie okulary przeciwsłoneczne, na głowie żółty szal w pomarańczowe motylki. Riku nosił rękawiczki kierowcy, czarną koszulę i luźno zawiązany biały krawat. Szum silnika i silny wiatr uniemożliwiały rozmowę, więc przez wiele mil Michi patrzyła tylko w prawo, na zatokę, lub w lewo, na klony i sosny. Jak tylko wyjechali z miasta Dogashima, z radia popłynęła piosenka „Just You, Just Me”. Odwrócili się do siebie i uśmiechnęli, po czym Riku skrzył w głąb łądu na poszukiwania onsenu¹ Inugami².

Spotkali się poprzedniego wieczora w Limicie, klubie dla wyższych sfer. Szef Riku miał tam otwarty rachunek i Riku mógł korzystać z niego zawsze, kiedy był w Numazu. Poszedł tam już kiedyś; upił się i spędził trochę czasu z hostessą. Rozmowa wyglądała tak, jakby dziewczyna czytała pytania i odpowiedzi z kartki; komplementy, które mu prawiała, były tak nieprawdopodobne, że aż nudne. Kiedy jednak zobaczył Michi w krótkiej czarnej spódniczce, z lekko niepewną miną, od razu wiedział, że tym razem będzie inaczej. Zamówił butelkę Nikka Yoichi i dwie szklanki. Ona się przedstawiła. On wstał i się uklonił. Poszli do niewielkiego pokoju, w którym stał wypolerowany stół z jasnego drewna. Za oknem roztaczał się widok na sosny i wybrzeże. Zaczekała, aż się uśmiechnie, po czym też się uśmiechnęła i powiedziała:

- Piszę książkę.
- Czy nie powinnaś mi mówić, jaki jestem przystojny? – spytał Riku.
- Masz świetną fryzurę.
- Roześmiał się.
- Dziękuję.
- Piszę książkę – powtórzyła. – Postanowiłam zająć się badaniami.
- Jesteś naukowcem?
- Wszyscy jesteśmy naukowcami. Obserwujemy i słuchamy, zbieramy dane i je przetwarzamy. Tworzymy teorie, według których żyjemy.
- A co, jeśli są fałszywe?
- A co, jeśli nie?
- Pokręcił głową i sięgnął po szklankę.
- Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Michi patrzyła przez okno, sącząc whisky. Riku patrzył na nią.
- Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosił.
- Zaczęła mówić o zmarłym ojcu, o chorej matce, o młodszych

bracie i siostrze, ale kiedy spytała o jego rodziców, odpowiedział:

- Powiedz mi lepiej coś o twojej książce.
- Postanowiłam zacząć badać jakąś porę roku, a ponieważ mamy jesień, wybrałam właśnie ją. To historia naturalna jesieni.
- Na pewno jesteś po studiach.
- Pokręciła głową.
- Nie, ale dużo czytam, dla zabicia czasu między klientami.
- Ile już napisałaś?
- Jeszcze nic. Zbieram teraz materiały, robię notatki.
- Czy co dzień rano chodzisz na Plażę Tysiąca Drzew i gapisz się na Fuji?
- Twój sarkazm jest zabójczy.
- Napełnił jej szklankę.
- Nie, prowadzę badania tutaj. Pytam każdego klienta, co oznacza dla niego jesień.
- Mówią ci?
- Skinęła głową.
- Niektórzy chcą tylko, żebym wypowiedziała się na temat ich mięśni, ale większość naprawdę się tym przejmuje. Siwowłosi ojiisan³ uśmiechają się, biznesmeni płaczą, młodzi mężczyźni są trochę przestraszeni. Zazwyczaj mówią to samo. Tylko obrazy – kolorowe liście, jasne, rześkie poranki nad Zatoką, spacer z psem, przyjaciel z dzieciństwa, noc pełna alkoholu. Czasami jednak opowiadają mi całe historie.
- Jakie historie?
- Pewien wpływowy biznesmen – jedna z hostess przysięgała, że jest panem pięciu elementów – opowiedział mi swoją *love story* o młodej kobiecie, z którą miał romans. Zaczął się on ostatniego dnia lata, trwał przez całą jesień i zakończył się w śniegu.
- Czego się dowiedziałaś z tej opowieści? Co zanotowałaś?
- Spisałam ją całą i nadałam tytuł „Historia Ducha”.
- Dlaczego akurat ducha?
- Nie pamiętam – powiedziała. – Poza tym, skłamałam. Zanim zmarł mój ojciec, przez dwa lata studiowałam na Uniwersytecie Waseda.
- Nie musiałaś mi tego mówić. Domyśliłem się, kiedy powiedziałeś, że nazwałaś to opowiadanie „Historią Ducha”.
- Pretensjonalne?
- Wzruszył ramionami.
- Może... – powiedziała i uśmiechnęła się.
- Nieważne. Proponuję, żebyśmy zapomnieli o tej opowieści i udali się na wyprawę badawczą. – Pochylił się do przodu i dotknął stołu palcem wskazującym. – W nagrodę za dobrze wykonane zadanie mój szef pozwolił mi jeździć do jego prywatnego onsenu w Izu. Muszę tylko zadzwonić z kilkugodzinnym wyprzedzeniem.
- Wyprawa? – spytała. – Co będziemy badać?

1 onsen – japońskie gorące źródła, na których zbudowane są kąpieliska publiczne (przyp. tłum.)

2 Inugami – pies demon z japońskich legend (przyp. tłum.)

3 ojiisan – dziadek (przyp. tłum.)

HORYZONT ZDARZEŃ

(Event Horizon)

SUNNY MORAINÉ

nych, typowo wiewiórzych podskokach. One idą, krok za krokiem, zeszywniałe. Jak małe wiewiórki zombie. Bez wahania przekraczają bramę i ruszają wybrukowaną ścieżką prosto do drzwi.

Z drzwiami jest pewien problem: są tam. I ich nie ma.

Wiewiórki podchodzą do nich i wchodzi do środka. A one się nie otwierają.

Żadnego dźwięku. Żadnego ruchu.

– Za każdym pieprzonym razem – mruczy Zhan. Kiwam głową.

Zhan podnosi pułapkę. Wycofujemy się tyłem. Dwadzieścia metrów dalej odwracamy się i wracamy, skąd przyszliśmy. Żadne z nas nie odzywa się nawet słowem.

Dom stoi tam od zawsze. Albo przynajmniej odkąd się tutaj przeprowadziłam, a nic z wcześniejszych czasów nie pamiętam, więc jeśli o mnie chodzi, to to właśnie znaczy „od zawsze”.

Przyjaźnimy się z Zhanem odkąd urosłam na tyle, żeby mieć przyjaciół; jest moim bohaterem odkąd urosłam na tyle, żeby mieć bohaterów. W dużym stopniu dlatego, że od razu mnie zaakceptował, mimo że wiele innych dzieciaków śmiało się ze mnie, przezywało, rzucało we mnie kamieniami i nie dawało w szkole chwili spokoju – szczególnie wszechobecne trio: Kyle Patterson, który od trzeciej klasy nienawidzi mnie z sobie tylko znanych powodów, Jake McDonnell, jego najlepszy przyjaciel, i Drew Carter, który przeważnie po prostu trzyma się z nimi, bo nie ma nic lepszego do roboty. Wszystko przez moje włosy i sposób, w jaki się ubierałam, i przez to, jak jeżyłam się, kiedy ktoś zwracał się do mnie w rodzaju żeńskim. Nigdy nie byłam w stanie wytłumaczyć im, dlaczego zależało mi na tych rzeczach; po prostu wydawały się właściwe w świecie, w którym nic nie takie nie jest. A Zhan, nawet jeśli tego nie rozumiał, przynajmniej akceptował to bez pytań czy pretensji. Dla Zhana po prostu byłam. Jestem.

Tak jak dom.

Miałam dziesięć lat, kiedy Zhan po raz pierwszy zabrał mnie pod dom. Złapał kota sąsiada, parchate bydlę, które zawsze rzucało się na nas z pazurami. W pułapce zwierzę prychnęło i miauczało, ale później przeszło przez bramę i nigdy więcej go nie widzieliśmy.

Zhan kazał mi przysiąc, że nikomu nie powiem. Przysięgałam.

To było trzy lata temu. Od tego czasu Zhan nie odpowiedział na żadne z moich pytań – skąd wziął się dom, czym naprawdę jest, jak się o nim dowiedział ani czy da się go zabić. Myślę, że gdyby istniały jakieś odpowiedzi, powiedziałby mi.

Później w lesie, po tym, jak nakarmiliśmy dom, Zhan piecze hot doga w ognisku rozpalonym w kręgu kamieni, po czym podaje mi go, gdy parówka zaczyna pękać na środku i parować. Światło przesuwają po jego twarzy delikatnymi palcami. Patrzę na niego i mam nadzieję – Boże, jaką mam nadzieję – że nie widzi, o czym myślę.

Zdałam sobie sprawę, że go kocham, rok po tym, jak pokazał mi dom. Myślę, że właśnie przez dom do tego doszło. Zhan podzielił się ze mną tajemnicą. Chciałam za to dzielić się z nim wszystkim.

Coraz trudniej wymykać się dwa razy w tygodniu.

Latem było łatwiej. Mogliśmy zniknąć na całe dni, trawić poranki na rzucaniu do siebie piłki do baseballa na pustej działce dwa bloki od naszej ulicy, sprawdzać pułapki, karmić dom, a resztę dnia spędzać na strzelaniu z wiatrówki do wron, chowając się w krzakach otaczających parking parku przemysłowego Los Vientos. Latem prawie nikogo tam nie ma, więc nikt nas nie przegania. Choć Zhanowi sprawia to chyba więcej przyjemności niż mnie.

Tak czy siak, lato już minęło. Rok szkolny rozpoczął się niezależnie od upałów, które utrzymują się jeszcze co najmniej przez dwa miesiące, i choć wcale nie tak trudno zerwać się podczas przerwy na lunch, kiedy żar się leje z nieba, a my wszyscy tłoczmy się na wyasfaltowanym podwórku, to jednak za każdym razem podejmujemy pewne ryzyko.

Dzięki Bogu nikogo to przesadnie nie obchodzi. „Ta pieprzona lesba i jej pedałkowały przyjaciel”. Żadne z nas nie jest szczególnie popularne, więc cóż, przynajmniej mamy siebie.

„Mamy siebie”. Uwielbiam brzmienie tych słów.

I znów to samo. Tym razem trzy wiewiórki kroczą po chodniku w dostojnej procesji. Mamy je na wyciągnięcie ręki. Zerkam na Zhana – zawsze trudno, nawet niebezpiecznie jest odwrócić wzrok od domu, ale dla niego się na to zdobywam – i po raz pierwszy przechodzi mi przez myśl: „Jak długo będziemy to jeszcze ciągnąć?”

„Co by się stało, gdybyśmy przestali?”

Nie wiem, dlaczego Zhan zaczął karmić dom. Ale tej nocy, leżąc w łóżku, zaczynam rozmyślać o miarowym stąpaniu zwierząt w stronę widmowych drzwi. O tym, jak trudno jest odwrócić wzrok od domu, jak trudno choćby powstrzymać się przed przychodzeniem tam, jak niemal żadna przeszkoda nie jest w stanie nas przed tym powstrzymać.

On nas wzywa.

Zasypiam, wyobrażając sobie, jak stoi tam w ciemności, żywy, głodny, jak wyczekuje kolejnego razu, kiedy przyniesiemy mu mięso.

Śni mi się w nocy. To nie jest dobry sen.

Stoję tam, gdzie zawsze stoimy z Zhanem, i patrzę na dom. Ale jest inaczej niż zwykle. Nigdy nie chodzimy tam po zmroku, teraz natomiast jest ciemno, nie ma gwiazd ani księżyca. I jestem sama.

Tylko że wcale nie jestem. Bo jest jeszcze dom. I choć wiem, że zawsze, kiedy na niego patrzymy, on także patrzy na nas... to nigdy nie czułam tego, co teraz. Obok stoi ciemny monolit, a mimo że się nie rusza, wrażenie mam przeciwnie. Jakby podkładał się do mnie. Wyciągał po mnie ręce.

Ogródek pełen jest kości.

Nigdy go takim nie widzieliśmy. Dom niczego po sobie nie zostawia. Wszystko wciąga do środka. Ciało, kości, krew. Światło. Powietrze. Chcę się odwrócić i odejść. Być może uciec. Ale nie mogę. Moje mięśnie ani drgną. Zamiast tego idę przed siebie tym samym ryt-

DOSKONAŁY DZIEŃ

(Perfect Day)

C.S. FRIEDMAN

Kiedy Stanley Betterman obudził się w poniedziałek rano, nie wiedział, że wszyscy inni na świecie są nadzy.

Jego piżama była na miejscu, kiedy mózgosprzęt pobudzał ośrodki nerwowe, urywając tym samym przyjemny sen o malejącym oprocentowaniu kredytów hipotecznych. Pasiasta bawełna może i wyglądała na odrobinę bardziej zieloną niż zazwyczaj, kiedy wreszcie chwiejnym krokiem udał się do łazienki, ale jego aplikacja Pomaluj Mój Świat zawsze potrzebowała rano trochę czasu na rozgrzanie się. Poza tym nie było żadnych oznak, że cokolwiek jest nie tak.

Odbicie spoglądające na niego z lustra było takie samo jak każdego ranka: nijaki mężczyzna z wyjątkowym brakiem cech szczególnych, oflankowany przez dwie kolumny odczytów biologicznych, które zdawały się unosić w powietrzu. Sprawdzając dane, zobaczył, że jego ciśnienie krwi, cholesterol i poziom cukru są w normie, za to HDL nieco za niski. Zaraz aplikacja Pozytywne Nawyki Zdrowotne powinna mu powiedzieć, co ma zrobić, żeby temu zaradzić.

Wciąż nieświadomy faktu, że noszenie ubrań czyniło go anomalią na skalę światową, Stanley wyszorował zęby aż lśniły, po czym pozwolił łazienkowemu skanerowi wskazać fragmenty, które opuścił. GRATULACJE! wyświetlił mózgosprzęt po zakończonym skanowaniu, puszczając duże czerwone litery w jego polu widzenia i odtwarzając fanfarę w uszach. NICZEGO NIE OMINĄŁEŚ! Od tej pochwały rozboleła go głowa, ale używanie Programu Pozytywnego Wsparcia gwarantowało mu dwuprocentową zniżkę na ubezpieczenie zdrowotne, a przy tym, jak mu szło w pracy, musiał oszczędzać na każdym kroku. Może gdyby później w roku jego sytuacja się poprawiła, mógłby sobie pozwolić na kupienie wyświetlacza wyższej klasy, który nie byłby tak denerwujący. Podobno był nawet jeden z chórem „Hallelujah”, w którym dało się regulować głośność.

Kiedy już umył się i ubrał do pracy, sprawdził aplikację Zarządzania Czasem, która podała, że jego wydajność wykonania czynności higienicznych tego ranka wynosiła siedemdziesiąt dwa procent. Był to jeden z najniższych wyników w tym miesiącu. Może gdyby skuteczniej mył zęby, uzyskałby wyższy. Nie było żadnych kar za niskie wyniki, ale Stanley szczylił się swoją wydajnością. Być może powinien skorzystać z jakiegoś doradztwa higienicznego.

CZY WYŁĄCZYŁEŚ WSZYSTKIE ŚWIATŁA? zapytała aplikacja Bezpieczeństwa Mieszkańca, kiedy wychodził z pokoju. CZY ODŁĄCZYŁEŚ WSZYSTKIE NIEBEZPIECZNE URZĄDZENIA?

Szedł właśnie do kuchni, kiedy w korytarzu minął go starszy brat. Na początku jego mózg nie zarejestrował, że

mężczyzna jest zupełnie nagi. Kiedy wreszcie to do niego dotarło, Stanley po prostu odwrócił wzrok, nie zwalniając kroku. Aplikacja Progresywnego Stylu Życia, z której korzystał jego brat, czasem nakłaniała go do dziwnego zachowania, a Stanley nie chciał wyjść na nietolerancyjnego.

Jednak kiedy wszedł do kuchni, zobaczył, że pozostali członkowie rodziny również są nadzy. Stał przez chwilę w drzwiach, mrugając, chcąc jakoś to zrozumieć.

Matka obróciła się i uśmiechnęła do niego; on splonął rumieńcem i odwrócił wzrok.

– Chcesz jajka na śniadanie? – zapytała. – Udało mi się dostać modyfikowane żółtka w dobrej cenie.

Powoli skinął twierdząco i usiadł, starając się na nikogo nie patrzeć.

Wprowadził się na powrót do rodzinnego domu rok temu, w czasie krachu ekonomicznego. Przez większość czasu nie było najgorzej. Wszyscy używali aplikacji Sam w Domu, która podawała ciągle informacje o obecności innych domowników, tak że można było ich unikać. (Najbliższe prawdziwej samotności! obwieszczały reklamy). Ale przyjęli zwyczaj wspólnego jedzenia śniadania, żeby móc grupowo zsynchronizować aplikację. Jeśli nie robiło się tego raz na tydzień, istniało ryzyko, że się zdekalibruje, przez co człowiek wejdzie do pokoju, który spodziewał się zastać pusty, by jednak natknąć się w nim na kogoś.

Niezwykłe irytujące.

– Mogą być jajka – odpowiedział, wbijając wzrok w stół.

– Wszystko w porządku? – zapytał nagi starszy brat.

– W porządku – powiedział cicho.

– Nie wyglądasz, jakby było w porządku.

Omawianie problemów mózgosprzętu przy posiłku należało do złych manier, ale brat najwyraźniej nie zamierzał zostawić go w spokoju.

– Chyba mam wirusa – odpowiedział Stanley. – Zajmę się tym w pracy.

– Czy to goły wirt? – zapytał jego nagi czternastoletni brat.

– Geoffrey! – zawołała matka.

– Co to takiego ten goły wirt? – zapytał starszy brat.

– Złośliwe oprogramowanie wirtualne – wyjaśnił czternastolatek. – Dostało się do sieci społecznościowych późno w nocy. Wszyscy przez to wydają się zupełnie goli. – Zachichotał. – Słyszałem, że złapał to nawet prezydent.

– Czy to prawda? – zapytała matka Stanleya, marszcząc brwi i zasłaniając kuchennym ręcznikiem piersi.

– To nic takiego – wymamrotał w odpowiedzi, starając się na nią nie patrzeć. (Jak i usiłując nie wyobrażać sobie, jak nago wygląda wiceprezydent.) – Po prostu gdy będę w pracy odpalę neuroczyścik.

KOLEJNE PIWO DLA SZCZENIAKA W KOJCU (3)

MACIEJ PAROWSKI

Telewizyjna wypowiedź Slavoja Žižka, słoweńskiego krytyka-prowokatora i filozofa: Nie cierpię pisać, ale bardzo lubię notować i uwielbiam redagować. Dlatego najpierw notuję, notuję, notuję, a kiedy zbierze się wystarczająco dużo materiału – zaczynam redagować. Tym samym pisanie znika.

Jan Parandowski opowiada w „Alchemii słowa”, pisarskiej biblii mego pokolenia, o Gustawie Flaubercie. Autor „Pani Bovary” (*to ja* – mawiał o bohaterce swej najgłośniejszej książki) był pracusiem i maksymalistą. Zdarzało mu się dzień cały cyzelować jedno zdanie, by nazajutrz je skreślić i zaczynać od nowa.

Po kilkunastu godzinach takiej harówki nad kartkami ociekającymi literackim potem, Flaubert zamykał dzień pisaniem obszernych listów do przyjaciół i znajomych. Sporządzona na luzie korespondencja, zachwycała stylistyczną lekkością i doskonałą organizacją materiału; listy są wolne od śladów zmęczenia, czy nieśmiałości.

Prosty trick – przestawić w głowie jajkę, zamiast „tworzę”, na – „relacjonuję, opowiadam” dokonywał cudów.

*

Inny przykład ze zbliżonej działości. Poważna gazeta postanawia opublikować raport o przemyśle wydobywczym i rynku paliw. Zamawia więc u specjalisty z branży rzeczowy raport, dopiero na jego podstawie zawodowy żurnalista skomponuje brawurowy, okładkowy artykuł. Ale to drugie okazuje się niepotrzebne.

Temat podyktował dramaturgię i sposób ekspozycji. Nafciarz nie krygował się i nie popisował, wyłożył posiadaną wiedzę najprościej jak umiał,

licząc, że ornamenty sporządzi redakcja. Tymczasem *piękno* (i zręczność) *wkroczyło nie pytając bramą* (Norwid), temat spadł na cztery łapy i nic nie było już do dodania. Dziennikarz dorobił tylko lead, śródtytuły i raport poszedł do druku.

*

Powtarzający się problem: kiedy otworzyć kranik, żeby nie kapalo, tylko poleciało szeroką strugą. Jakiego użyć chwytu by tekst przybrał akuraty kształt *nie narażając nikogo, autora ni czytelnika na męki wyższego rzędu?* (Miłosz). Jak sprawić by dar wyboru właściwej formy był tak naturalny i automatyczny, jak pewność ręki nieletniego szlifierza diamentów?

Jako pierwsza narzuca się tu niezobowiązująca forma sylwiczna tekstów lub fragmentów pisanych na gorąco, zawierających także streszczenia cudzych wypowiedzi lub wręcz cytaty. Cudów można dokonać używając swoistej pułapki na myśli, jaką jest gawęda, stosowana z wdziękiem przez Paskę i... Gombrowicza. Na pewno łatwiej też wcielić się w autora namiętnego listu, im bardziej bezwstydny, tym lepiej, niż pisać emocjonalny wywód „samemu”. Użyteczna bywa forma wywiadu, gdzie dramaturgia układa się od pytania do pytania – kto pisał interview sam ze sobą za leniwych dziennikarzy, ten wie o ileż to jest łatwiejsze w robocie od wypowiedzi stricte autorskiej.

Chaotyczną, pełną uczuć dramaturgię dobrze oddaje pierwszoosobowa forma dziennika lub strumienia świadomości. Warto przy tym pamiętać, że nie myślimy słowami ani zdaniami, człowiek ma w głowie obrazy, spostrzeżenia, emocje; to raczej chaos, mgławica, iskrzenie synaps. Jeśli narrator (a jeszcze gorzej narrator-



Fot: Grzegorz Stancel

-Bóg) sugeruje, że wszystko jest tu dlań oczywiste, jawne, połączone w system, to znaczy, że mamy do czynienia z autorem dziecinny. Chyba, że chodzi o prozę kryminalną (i dawną, dumną z siebie SF). Akurat tam, zwłaszcza na ostatnich decydujących stronach, wolno pisarzom udawać, że posiadli kompletną wiedzę i zżarli wszystkie rozumy.

*

Tekst nie powstaje w głowie ani w rękę, lecz gdzieś między nimi i obok nich. Marzenie Słowackiego sformułowane w „Beniowskim”: *chodź mi o to aby język giętki powiedział wszystko co pomyśli głowa*, brzmi pięknie ale jednak omija sedno, bo nie dotyka cudu. Bywa przecież, że na papier, na klawiaturę i ekran spadają słowa, z których autor sam przed sobą nie potrafi się wyliczyć. *Powstaje z nas rzecz, o której nie wiedzieliśmy, / że w nas jest, więc mrugamy oczami, jakby wyskoczył z nas tygrys / i stał w świetle, ogonem bijąc się po bokach* – wyklada Miłosz w „Ars poetica” i to on jest bliższy istoty rzeczy.

Kunszt kreowania takich czarów można podkręcić chemicznie. *A widział kto poetę trzeźwego?* (Kochanowski). Ale na samym haju długo ciągnąć się nie da. Wódka uśmierciła więcej wierszy i poetów niż stworzyła, a pisany w opiumowym transie fantastyczny poemat „Kubla Khan” Coleridge’a nigdy nie został dokończony. Nawet Dick w posłowie do powieści „Przez ciemne zwierciadło” wyrzeka się narkotykowych bezeceństw: *Natura pokazała nam gdzie są granice. Straszne wydarzenia sprawiły, że musieliśmy przestać*. Ostrzega przed używkami Witkacy w „Niemytych duszach”.

1. Maja Lidia Kossakowska. Warszawa, grudzień 2008
2. Ewa Białotęcka. Festiwal Fantastyki Nidzica 2010



„TRZECIE KRÓLESTWO” WYDAWNICTWO REBIS

CZYIM WNUKIEM
JEST RICHARD CYPHER?



Łaknąca krwi Zaszyta Służka, która uwięziła Kahlan, została zabita przez Richarda. Przedtem jednak zdążyła ich oboje naznaczyć zabijającym powoli dotknięciem śmierci. Biskup Hannis Arc i opat Dreier, zabawiając się prorocztwami i czarną magią, wskrzesili straszliwe zło i zburzyli mur, za którym je zamknęto. Uwolnione potwory grasują po świecie, polując na ludzkie dusze..

Wśród czytelników, którzy do końca lutego nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Rebis.

„UPADŁE ANIOŁY. MISJA” WYDAWNICTWO VIDEOGRAF

JAKI TYTUŁ NOSI
PIERWSZY WYDANY
W POLSCE CYKL
AUTORSTWA
J.R. WARD?



Od zarania dziejów panuje wojna między siłami światła i ciemności. Wkrótce zostanie wybrany jeden z upadłych aniołów, by na zawsze rozstrzygnął tę walkę. Ma zbawić dusze siedmiu ludzi, z których każdy popełnił jeden z grzechów śmiertelnych. Sprawę utrudnia fakt, że pewien żeński demon chce mu pomieszać szczyty...

Wśród czytelników, którzy do końca lutego nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Videograf.

„DZIEDZICTWO PRZODKÓW” WYDAWNICTWO INSIGNIS

JAKI JEST ZWIĄZEK MIĘDZY
MIEJSCEM ZAMIESZKANIA AUTORA
KSIĄŻKI I MIEJSCEM AKCJI
POWIEŚCI?



Miasto-twierdza Königsberg. Przedsiębiorca Berlina. Ostatni przyczółek, po zdobyciu którego upadek Trzeciej Rzeszy stał się nieuchronny. Tę niegdyś niemiecką ziemię podczas II wojny światowej obficie zrosiła krew radzieckiego żołnierza.

Ale nawet teraz, kiedy przebrzmiały już echa ostatniej globalnej wojny, która zapędziła resztki ludzkości pod ziemię, są tacy, którym nie daje spokoju straszne dziedzictwo przodków. I w imię tego dziedzictwa są gotowi zabijać.

Wśród czytelników, którzy do końca lutego nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 5 laureatów, z których każdy otrzyma książkę ufundowaną przez Wydawnictwo Insignis.

„NOE” T. I i II WYDAWNICTWO SQN

KTÓRY Z SYNÓW NOEGO
NAŚMIEWAŁ SIĘ Z JEGO
PIJAŃSTWA?



Świat bez nadziei, świat bez deszczu i upraw, rządzone przez okrutnych władców i ich barbarzyńskie hordy. W tej przerażającej rzeczywistości przyszło żyć Noemu – żołnierzowi, lecz również magowi i uzdrowicielowi, którego jedynym pragnieniem jest spokój własnej rodziny. Każdej nocy Noego niepokoją senne wizje niekończącej się powodzi. Powoli dociera do niego znaczenie wiadomości zesłanej mu przez Stwórcę, który zdecydował się straszliwie ukarać ludzkość. Dał jednak Noemu ostatnią szansę na ocalenie życia na Ziemi.

Wśród czytelników, którzy do końca lutego nadesłali poprawną odpowiedź na nasz adres pocztowy lub internetowy (konkurs@fantastyka.pl), wyłonimy 3 laureatów, z których każdy otrzyma dwa komiksy ufundowane przez Wydawnictwo SQN.

ROZWIĄZANIA KONKURSÓW Z NUMERU 12/2013 „NF”

Wydawnictwo Akurat „Czerwony golem”

Według tradycji żydowskiej twórcą golema jest Jehuda Löw ben Bezalel zwany Maharal.

Mirela Kubiak – Bydgoszcz
Urszula Marzec-Wróblewska – Bydgoszcz
Magdalena Sarzyńska – Nowogard
Julia Kowalczyk – Gdańsk
Konrad Paluch – Kraków
Damian Kubiak – Gdańsk
Patrycja Staszak – Bydgoszcz
Wawrzyniec Kołodziej – Tychy
Alicja Mrozowska – Włodawa
Piotr Woźniak – Warszawa

Wydawnictwo SQN „Czas zniw”, „Szczęśliwa ziemia”

Były felietonista „Nowej Fantastyki” publikujący w Wydawnictwie SQN to Jakub Ćwiek.

Sławomir Jagiełło – Owcza
Daria Przybylska – Warszawa
Barbara Radzikowska – Parzęczew
Krzysztof Łasowski – Poznań
Karolina Grochola – Gdańsk

Wydawnictwo Paperback „SF po polsku” T I i II

Autorem publikującym w obu tomach antologii jest Tomasz Duszyński.

Maciej Potempa – Barcin
Piotr Jabłoński – Warszawa
Jędrzej Burek – Kunice
Jacek Stolaś – Kielce
Kacper Klimak – Katowice

Wydawnictwo Gola „Upadające królestwa”

Autorka książki „Upadające królestwa” pochodzi z Kanady.

Zuzanna Boratyn – Rabka-Zdrój
Izabela Zabłocka – Warszawa
Monika Merdańska – Ostrowiec Św.
Andrzej Śledziowski – Starachowice
Michał Malinowski – Poznań
Krystyna Mrozowska – Lutomiersk
Magdalena Dyrda – Bystra
Magdalena Swatoń – Warszawa
Alicja Mrozowska – Skarżysko-Kam.
Jolanta Pietkiewicz – Opole

PROMOCJA PRENUMERATY

„Ziemiomorze” Ursuli K. Le Guin to kultowa seria fantasy
po raz pierwszy w jednym tomie!

Tylko od 26 stycznia 2014 roku do 24 lutego 2014 roku
przy zamówieniu prenumeraty „Nowej Fantastyki”
możesz otrzymać „Ziemiomorze”

z 40% rabatem*



WYSTARCZY POLICZYĆ, CO SIĘ NAJBARDZIEJ OPŁACA:

Zamów prenumeratę
„Nowej Fantastyki”
i „Fantastyki Wydanie Specjalne”

Otrzymasz:

„Ziemiomorze” = 69,90 zł
12 numerów „NF” = 119,88 zł
4 numery „FWS” = 39,96 zł
W sumie = 229,74 zł

za 155* zł

OSZCZĘDZASZ PONAD 74 zł!

Zamów prenumeratę
„Nowej Fantastyki”

Otrzymasz:

„Ziemiomorze” = 69,90 zł
12 numerów „NF” = 119,88 zł
W sumie = 189,78 zł

za 131* zł

OSZCZĘDZASZ PONAD 58 zł!

* koszt prenumeraty uwzględnia książkę „Ziemiomorze” z rabatem 39,91% oraz koszt przesyłki w wysokości 5 zł



PRENUMERATA	„NF”	„FWS”	„NF”+„FWS”
ROCZNA	84,00	32,00	108,00
PROMOCJA	131,00	-	155,00

Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
76 1140 1977 0000 2542 6100 1006

PYTANIA DOTYCZĄCE PRENUMERATY:

- TELEFONICZNIE: (w godz. 8.00–16.00): 22 27 81 727
- LISTOWNIE POD ADRESEM: Prószyński Media Sp. z o.o.,
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
- LUB NA ADRES E-MAILOWY: prenumerata@proszynskimedia.pl

ZASADY PRENUMERATY:

- prenumeratę należy zamawiać z co najmniej miesięcznym wyprzedzeniem od pierwszego zamawianego numeru na okres 12 miesięcy
- reklamacje należy zgłaszać w ciągu dwóch miesięcy
- koszty manipulacyjne związane z dokonaniem wpłaty w banku lub na pocztę ponosi zamawiający.
- książka będzie wysyłana z najbliższą wysyłką prenumeraty.

Uprzejmie informujemy, że dokonując wpłaty, wyrażacie Państwo zgodę na umieszczenie swoich danych osobowych w bazie danych Prószyński Media Sp. z o.o. – wydawcy „Nowej Fantastyki”, z siedzibą w Warszawie, ul. Rzymowskiego 28, oraz na korzystanie z nich i przetwarzanie w celach marketingowych i promocyjnych. Prószyński Media Sp. z o.o. może udostępnić te dane innym podmiotom w celach dotyczących promocji produktów tych podmiotów. Podanie przez Państwa danych jest dobrowolne i przysługuje Państwu prawo dostępu do treści swoich danych oraz ich poprawiania. Prószyński Media Sp. z o.o. zapewnia ochronę danych zgodnie z Ustawą z dnia 29.08.1997 r. o ochronie danych osobowych (tekst jednolity Dz.U. Nr 101 z 2002 r., poz. 926 z późn. zm.).

Fantastyka

ADRES REDAKCJI:

ul. Rzymowskiego 28
02-697 Warszawa

Telefon 695 858 802
Faks 22 27 81 775

E-MAIL:

nowafantastyka@fantastyka.pl

WWW.FANTASTYKA.PL

Wydaje Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28,
02-697 Warszawa

Prezes zarządu:
Maciej Makowski

Dział Promocji i Reklamy:
Artur Kaczorek, tel. 22 27 81 717
arturkaczorek@proszynskimedia.pl

Druk i oprawa:
ORTIS Sp. z o.o.,
86-050 Sołec Kujawski, ul. Brukselska 8

Kolportaż:

Firma 2M Magdalena i Marek Szwed
ul. Poznańska 484, 05-850 Koprk
tel (22) 245-45-52

REDAKCJA:

Jerzy Rzymowski
redaktor naczelny/dział publicystyki
jerzyrzymowski@fantastyka.pl

Maciej Parowski
ojciec redaktor
maciejparowski@fantastyka.pl

Michał Cetnarowski

Dział Literatury Polskiej
michalacetnarowski@fantastyka.pl

Marcin Zwierchowski
Dział Literatury Obcej
marcinzwierchowski@fantastyka.pl

Irina Pozniak
Dział Graficzny, tel. 22 27 81 734
irinapozniak@proszynskimedia.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych,
w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo
do dokonywania zmian i skrótów. Za treść reklam
nie odpowiadamy.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Krystyna de Binzer, Wojciech Chmielarz, Paweł
Deptuch, Marek Grzywacz, Agnieszka Haska,
Andrzej Kaczmarczyk, Rafał Kosik, Joanna
Kulakowska, Bartłomiej Łopatka, Waldemar
Miaśkiewicz, Rafał Śliwiak, Łukasz Orbitowski,
Bartłomiej Paszyk, Przemysław Pieniążek,
Piotr Piękosz, Wawrzyniec Podrzućki, Jerzy
Stachowicz, Michael J. Sullivan, Peter Watts,
Jakub Winiarski, Tymoteusz Wronka.

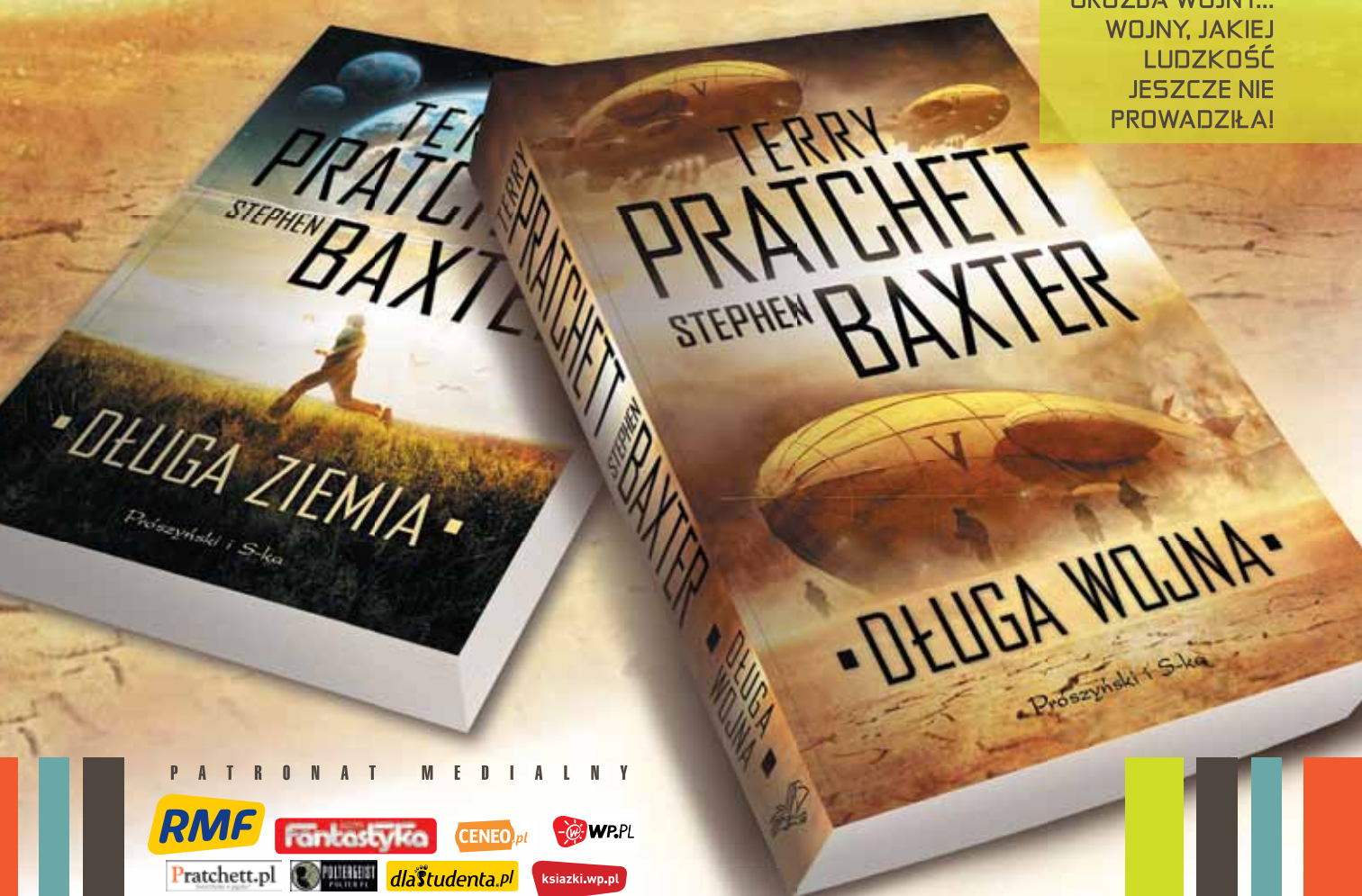
Twórcy RoboCopa pracują nad wersją adresowaną do
młodszych widzów: BoboCopem.

JEDEN ŚWIAT! TO ZA MAŁO!

w w w . p r o s z y n s k i . p l

NOWA CZĘŚĆ
ZNAKOMITEGO CYKLU
**TERRY'EGO
PRATCHETTA!**

A W NIEJ:
CAŁKIEM REALNA
GROŹBA WOJNY...
WOJNY, JAKIEJ
LUDZKOŚĆ
JESZCZE NIE
PROWADZIŁA!



P A T R O N A T M E D I A L N Y

